

RYSZARD TADEUSIEWICZ*

Ilość czy jakość?

Wstęp

Do napisania tego studium skłonił mnie fakt, że gdy jedna z popularnych gazet opublikowała w połowie października br. mój wywiad¹, w którym zdecydowanie krytycznie odniosłem się do lansowanego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego kierunku rozwoju kształcenia akademickiego, polegającego na tym, żeby w ławach studenckich sadzać coraz większy odsetek młodzieży kończącej szkoły średnie – skutki były dwojakie. Ze strony Ministerstwa dotarły liczne wyrazy dezaprobaty, kierowane – co charakterystyczne – do rektora zatrudniającej mnie uczelni, a nie do mnie bezpośrednio. Natomiast od czytelników dostałem bardzo wiele listów, e-maili, a nawet wiadomości sms – wyłącznie i jedynie popierających przedstawione przeze mnie tezy. Dodam, że wyrazy ministerialnej dezaprobaty ograniczały się do ogólnej nagany (że taki tekst nie powinien być powstać), jednak bez próby podjęcia polemiki i przedstawienia alternatywnego punktu widzenia, natomiast piszący do mnie pracownicy naukowcy i studenci różnych uczelni nie tylko potwierdzali, że zgadzają się z moim punktem widzenia, ale dodatkowo wzmacniali moją argumentację, przytaczając z własnej praktyki konkretne przykłady patologii funkcjonowania dzisiejszych uczelni. Również w Internecie, gdzie dyskusja wokół tego tekstu była – jak to w Internecie bywa – gorąca i często dość brutalna, zdecydowanie przeważały wpisy wspierające moje poglądy, a nawet poszerzające moje tezy, czasem zresztą poza granice zdrowego rozsądku.

Przyznam, że temperatura sprowokowanej przeze mnie dyskusji chwilami wprawiała mnie w zakłopotanie. Przedmiotem mojego poważnego zatroskania był także fakt, że redakcja gazety publikującej wywiad opatrzyła tekst (bez mojej wiedzy i zgody!) dość bulwersującym tytułem, na który ja bym sobie z pewnością nie pozwolił. Jednak nawet osoby robiące mi wyrzuty z powodu tego tytułu, przyznawały, że treści zawarte w wywiadzie są prawdziwe, a fakty przedstawione są uczciwie.

Zachęcony przez redaktora naczelnego kwartalnika „Nauka” postanowiłem więc tę racjonalną stronę moich wywodów przedstawić tu *sine ira et studio*, kierując ten tekst do środowisk akademickich z zaproszeniem do dyskusji na ten ważny dla nas wszystkich temat.

* Prof. dr hab. Ryszard Tadeusiewicz, członek korespondent PAN, Katedra Automatyki i Inżynierii Biomedycznej, AGH – Akademia Górniczo-Hutnicza, Kraków

¹ *Uczelnie się sprostywały*, „Rzeczpospolita” 18.10.2012, str. A10

Postawienie problemu

Nieszczęście zaczęło się od tego, że osoby decydujące o modelu polskiej uczelni uwierzyły w to, że jeżeli będziemy kształcić więcej ludzi, to będziemy mieli więcej ludzi twórczych. Tymczasem rozkład zdolności i talentów w populacji ludzkiej jest zgodny z krzywą Gaussa. Jak wiadomo, krzywa ta ma „lekkie ogony”, a to znaczy, że ludzi utalentowanych i twórczych było, jest i będzie niewiele. Dominuje przeciętność, miernota, bylejakość. Reguły tej nie zmieni fakt wręczania coraz większej liczbie intelektualnych karzełek dyplomów ukończenia studiów. Oni się od tego nie staną mądrzejsi, bo nawet najlepsza szkoła wyższa nie jest w stanie uformować myślącego i inteligentnego człowieka. Studiowanie – w odróżnieniu od edukacji średniej – jest w znacznym stopniu samodzielnym procesem, który szkoła wyższa powinna indukować i wspierać, ale którego nie może zastąpić. Studiowanie jest nie tylko zdobywaniem wiedzy, ale także (a może nawet przede wszystkim) kształceniem postaw, rozwojem ducha, wartości i tożsamości intelektualnej. Jeśli nawet wyposażymy absolwenta wyższej uczelni w duży zasób wiadomości (czego zresztą znaczna część funkcjonujących obecnie szkół wyższych także nie robi) – to i tak ta kolekcja wiadomości nie stanie się potrzebną społecznie wiedzą.

Znane przysłowie mówi, że wiedza składa się z wiadomości, tak jak dom składa się z cegieł – ale przecież nie każde nagromadzenie cegieł jest domem i nie każda kolekcja wiadomości tworzy wiedzę.

Wiedzę buduje kształcąca się osoba sama w swoim umyśle. Ta budowla musi stanąć na fundamencie własnych zdolności studenta, jego specyficznych talentów i ogólnej intelektualnej sprawności. Tymczasem większość aktualnie studiujących żadnego z tych przymiotów po prostu nie posiada lub ma go w niewystarczającej ilości. I nie jest to ani ich wina, ani tym bardziej nie jest to wina kształcących ich uczelni – tylko wspomnianej już krzywej Gaussa. Jeśli decydujemy się oferować wyższe wykształcenie każdemu, kto nie ucieka na drzewo, to nie dziwny się potem, że to wyższe wykształcenie dramatycznie traci na wartości...

Problem można by było zbagatelizować, gdyby nie fakt, że wiąże się z nim mnóstwo bolesnych rozczarowań coraz liczniejszych „nabranych na studia²” młodych ludzi. Te rozczarowania stanowią dramaty o wymiarze jednostkowym, natomiast prawdziwy dramat w wymiarze ogólnospołecznym wynika z faktu, że społeczeństwo, któremu nieodzownie potrzebna jest elita intelektualna – zamiast niej otrzymuje od wyższego szkolnictwa namiastkę, by nie powiedzieć gorzej: atrapę.

² Zwróćmy uwagę, że w oficjalnej terminologii dawna rekrutacja na wyższe uczelnie (z porządnym egzaminem wstępnym jako warunkiem koniecznym uzyskania indeksu) określana jest obecnie jako „nabór na studia”. Moim zdaniem w tym terminie zawarta jest kwintesencja problemu oraz – w sposób niezamierzony i niezauważalny dla tych, którzy tę nazwę lansują – gorzka autoironia...

Pozwolę sobie w tym miejscu przywołać kilka cytatów z mojego felietonu, który na rozpoczęcie roku akademickiego 2012/13 zamieściłem w pewnej gazecie³. Otóż napisałem tam:

Mamy początek roku akademickiego. W całej Polsce w setkach uczelni rozbrzmiewa radosne „Gaudeamus”. Tysiące młodych ludzi ze wzruszeniem odbierają indeksy i rozpoczynają studia.

Każdy z tych młodych studentów przynosi na uczelnię swoje marzenia. Studia mają mu dać mądrość oraz wiedzę. Mądrość potrzebną do tego, żeby w przyszłości należał do elity polskiej inteligencji. Wiedzę konieczną do tego, żeby pełnił w społeczeństwie określoną rolę: informatyka, prawnika, inżyniera, lekarza, bankowca...

Czy te marzenia o mądrości i o karierze się spełnią?

Niestety nie wszystkie.

W rozwinięciu myśli tego tekstu wyjaśniałem w sposób popularny, jakie są przyczyny faktu, że nie zawsze spełniają się marzenia młodych ludzi, którzy podejmują studia. W tym poważniejszym opracowaniu chciałbym spróbować ten sam temat przeanalizować nieco dokładniej.

Próba diagnozy

O tym, że jest źle, wiedzą wszyscy. Dyplom ukończenia wyższych studiów przestał gwarantować cokolwiek. Nie jest on „przepustką do kariery” dla tych młodych ludzi, którzy powierzając swój los instytucji funkcjonującej w Polsce w majestacie prawa jako wyższa uczelnia, nie mają wcale gwarancji, że będą dobrze uczeni i że zostaną poprawnie uformowani intelektualnie. Nie jest on także gwarancją dla pracodawców, że absolwenci przychodzący do nich z dyplomami coś naprawdę wiedzą i umieją. Nie jest on także gwarancją dla społeczeństwa, że posiadając rosnącą rzeszę ludzi mających nominalnie wyższe wykształcenie, staje się społeczeństwem lepiej przystosowanym do funkcjonowania w świecie, którego rozwój determinuje gospodarka oparta na wiedzy. Spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się dzieje?

Bardzo trafną i chyba najbardziej syntetyczną diagnozę dał prof. Jerzy Brzeziński w artykule *Erozja norm akademickich – Próba diagnozy*. Przedstawione w tym artykule tezy są w praktyce w 100% zgodne z opinią niżej podpisanego na ten sam temat. Autor cytowanej publikacji jako pierwszą (historycznie) przyczynę stanu, z którym mamy dziś do czynienia, wskazał (...) *zmiany, jakim podlegało (także od strony regulacji ustawowych) szkolnictwo wyższe po roku 1989*. Rozwijając tę myśl prof. Brzeziński, napisał: *Proponowano wtedy dość pośpiesznie (wszak czas nagli!) nowe ustawodawstwo, które miało zastąpić znowelizowaną (w celach wyraźnie represyjnych) w 1985 roku ustawę*

³Tadeusiewicz R.: *Do rozpoczynających studia*. „Polska Gazeta Krakowska”, 03.10.2012, str. 11

*o szkolnictwie wyższym, nieprzystającą do nowych realiów politycznych. Miał absolutną rację! To wtedy bowiem rozpoczął się proces, którego skutki widzimy dziś w formie wyżej wymienionych, wysoce niepokojących zjawisk i procesów. Sięgnę po raz trzeci do wskazanego wyżej artykułu prof. Brzezińskiego, wydobywając z niego zdanie, które w tej sprawie ma kluczowe znaczenie: *Rząd uważał, że uczelnie (...) mogą zwiększać liczbę studentów zgodnie z rozbudzonymi aspiracjami edukacyjnymi społeczeństwa i że nie musi to istotnie więcej kosztować.**

Przysłowiowy „gwóźdź do trumny” wbił minister Mirosław Handke. W sprawie roli ministra Handke w generacji „wyścigu szczurów”, który do dziś ma miejsce i który jest źródłem obniżenia jakości funkcjonowania polskich szkół wyższych, pozwolę sobie przywołać tekst, jaki na ten temat opublikował Adam Grobler, dyrektor Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego, wcześniej wieloletni pracownik UJ i UZ⁴. We wskazanym artykule prof. Grobler zajmuje się przyczyną tego, że mamy obecnie tak kiepską jakość kształcenia. Wszyscy o tej przyczynie od dawna wiedzieli, lecz nikt nie mówił tego głośno, a zwłaszcza nikt nie wskazał głównego sprawcy tej katastrofy. Profesor Grobler napisał jednak, nie owijając w bawełnę:

Wprowadzony przez ministra Mirosława Handkego algorytm podziału środków na szkolnictwo wyższe zachęcał uczelnie do konkurowania ze sobą zwiększaniem naboru studentów. Niestety, globalny fundusz nagród w tych zawodach nie ulegał zmianie. Wobec tego, jak łatwo było przewidzieć, dotacja budżetowa w przeliczeniu na głowę studenta systematycznie spadała. Cóż, cudów nie ma (...). Zmuszone za (...) te same pieniądze kształcić coraz więcej studentów uczelnie (...) kształcą ich coraz gorzej.

I dalej:

Jeszcze dwadzieścia lat temu grupy ćwiczeniowe liczyły kilkanaście osób. Dzisiaj normą jest trzydzieści kilka. To zmniejsza do zera aktywność studenta i odbiera mu okazję do rozwijania umiejętności.

Sądzę, że prof. Grobler wie, co mówi. W końcu poza pracą na UJ i UZ prowadził też cykle wykładów w kilku innych uczelniach, m.in. w UW, AGH i AP w Krakowie oraz uczelniach prywatnych. Co więcej, ma on ogląd sytuacji niejako z wyższego poziomu jako były ekspert i wizytator Uniwersyteckiej Komisji Akredytacyjnej, a ponadto wiceprzewodniczący Komitetu Nauk Filozoficznych PAN.

Jak wynika z przytoczonego wyżej cytatu (i z całego tekstu prof. Groblera) – obecny kryzys jakości kształcenia akademickiego jest winą konkretnego człowieka. I sądzę, że powinniśmy o tym również pamiętać.

Na nieszczęście masowego naboru na studia nałożyło się nieszczęście tzw. procesu bolońskiego. Wprowadzając (pod presją!) ten system, popsuliśmy dobrze sprawdzony

⁴ Grobler A.: *Jak popsuto wyższe uczelnie*, „Gazeta Wyborcza”, 28.05.2012

i dobrze działający od lat w naszym kraju system jednolitych studiów magisterskich przez wydzielenie w nich trzyletnich (lub trwających 3,5 roku) studiów I stopnia (licencjackich lub inżynierskich) oraz trwających dwa lata studiów II stopnia (magisterskich). Wszyscy wiemy dziś z codziennego doświadczenia, jak bardzo kłopotliwy jest ten system (trzeba w ciągu trzech lat przekazać podstawowy kanon wiedzy) i jak bardzo jest on kosztowny (oddzielne dyplomowanie po I i po II stopniu studiów rodzi dodatkowe koszty).

Trzy lata to naprawdę mało na to, by z maturzysty zrobić profesjonalistę w określonej dziedzinie wiedzy. A tymczasem zasoby wiedzy we wszystkich dziedzinach rosną w zastraszającym tempie. Przekazanie tak dużej ilości wiedzy w krótkim czasie jest bardzo trudne. Zwłaszcza wtedy, gdy trzeba dodatkowo uzupełniać wiedzę studentów w zakresie tego, co powinna była im dać szkoła średnia – ale nie dała. Trudno jest też uczyć o najnowszych osiągnięciach nauki światowej (z natury bardzo skomplikowanych i trudnych!) studentów o ograniczonych (mówiąc ogólnie) zdolnościach. Odnoszę więc wrażenie, że po studiach I stopnia mamy absolwentów, którzy nie są w pełni wykształconymi ludźmi – a otrzymują dyplom sprawiający (zwłaszcza na nich samych) wrażenie, że oto ukończyli oni studia wyższe i powinni otrzymać od społeczeństwa bardzo dobre stanowiska, najlepiej od razu kierownicze. Gdy to nie następuje – absolwenci mają pretensje do uczelni, że ich źle wykształciły, do pracodawców, że ich nie doceniają, wreszcie w uogólniony sposób do kraju, który nie daje im należnych szans. Najczęściej jednak nie wiedzą o tym, że prawdziwe pretensje powinni mieć do **systemu**, który postawił zarówno ich, jako zdobywających wiedzę, jak i tych, którzy tę wiedzę starali się im przekazać – w sytuacji próby realizowania zadań, których zrealizowanie jest obiektywnie niemożliwe.

Byłem rektorem AGH, gdy ten system zaczął funkcjonować, co więcej – byłem przewodniczącym Konferencji Rektorów Polskich Uczelni Technicznych i byłem członkiem Prezydium KRASP. Pamiętam, że jako rektorzy zmuszeni do współpracy z ministrem Handke zgłaszaliśmy zaniepokojenie tym lansowanym przez niego kursem na ilość, a nie na jakość, a także protestowaliśmy przeciwko **siłowemu** wprowadzaniu procesu bolońskiego. Wysuwaliśmy różne argumenty i różne postulaty, wskazując między innymi, że w systemie szkolnictwa wyższego rozważanym jako całość można stawiać cele „masowej scholaryzacji”, nieodzowne jest jednak także kształcenie elit. Wskazywaliśmy, że Polsce potrzebne są także uczelnie elitarne, tak jak przykładowo, francuska École Normale Supérieure, oferująca wykształcenie na wybitnym poziomie dla bardzo wąskiego grona starannie wyselekcjonowanych studentów.

Argumenty te odbijały się jak groch od ściany od bezwzględного przekonania ministra o bezwarunkowych zaletach rynkowego konkurowania uczelni o studentów, o wyższości systemu bolońskiego nad polską tradycją akademicką i o własnej nieomyślności. Ulegliśmy tej presji (ja także) – i nader często tego obecnie żałuję.

Różne formy patologii

„Wyścig szczurów” i brak preferencji dla najlepszych

Rezultaty niezbyt przemyślanych działań ustawodawczych twórców Prawa o szkolnictwie wyższym, a także szczegółowych rozporządzeń Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, dyktowanych głównie względami ekonomicznymi, a nie dążeniem do doskonalenia poziomu kształcenia akademickiego, są opłakane. Najbardziej cierpią na tym kandydaci na studia, studenci i absolwenci szkół wyższych. Coraz częściej zdają sobie oni sprawę z tego, że nieostrożnie wybierając uczelnię i kierunek studiów, mogą wcale nie uzyskać tej mądrości i tych kwalifikacji, których oczekują.

Dlaczego tak się dzieje?

Głównie z tego powodu, że za sprawą przytoczonych wyżej uregulowań prawnych, będących regulatorem całego systemu szkolnictwa wyższego w Polsce, dominującym składnikiem tego szkolnictwa stała się walka o studentów. Pieniądze przychodzą na uczelnie w zależności od liczby studentów, a nie w zależności od tego, czy są oni dobrze uczeni. Z wielkim szumem medialnym wykonywane są różne rankingi uczelni, które na podstawie mniej czy bardziej trafnie dobranych kryteriów mają ustalić, które uczelnie są lepsze, a które gorsze. Godne ubolewania jest to, że rankingi te generują media (gazety, tygodniki itp.), a nie resort odpowiedzialny w Polsce za organizację i poziom szkolnictwa wyższego. Podobnie jest zresztą także i z innymi ocenami podlegających Ministerstwu obszarów działania, na co słusznie zwrócił uwagę rektor Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Marcin Pałys, którego znamienna wypowiedź⁵ warta jest tu przytoczenia: *Czy minister wiedzę o poziomie nauki rzeczywiście czerpie z prasy, a gazeta staje się wyrocznią w sprawie jakości badań?*

Niestety działania Ministerstwa bardzo często obliczone są na doraźny efekt medialny, a nie wynikają z dojrzałej troski o optymalizację polskiego szkolnictwa wyższego traktowanego jako system mający ogromne znaczenie dla przyszłości Narodu, dla pozycji Polski w Unii Europejskiej i w globalizującym się świecie.

Jednak wyniki ocen jakości szkół wyższych (nawet tych niedoskonałych, opartych na prasowych rankingach) nie mają najmniejszego znaczenia, gdy idzie o przydział środków na kształcenie studentów. Nie mają też najmniejszego znaczenia praktycznego (to znaczy wyrażającego się w preferencyjnym finansowaniu) wyniki badań, podejmowanych przez różne instytucje (w tym niestety znowu głównie związane z mediami) sprawdzające, jak pracodawcy oceniają absolwentów poszczególnych uczelni, a dokładniej – poszczególnych kierunków studiów na poszczególnych uczelniach. Nie mają też żadnego znaczenia praktycznego wyniki statystycznej oceny przebiegu kariery absolwentów róż-

⁵ Cyt. za Karpieszuk W.: *Uniwersytet krytykuje ministerstwo*. „Gazeta Stołeczna”, 25.10.2012

nych szkół, najbardziej dobitnie świadczące o tym, czy to, czego się uczą studenci tych szkół, przydaje im się potem w życiu.

Nic z tych rzeczy. Liczy się ilość i tylko ilość. Algorytmy są tak skonstruowane, że przyjęcie jak największej liczby studentów uczelniom sownie się opłaca, natomiast z jakości absolwentów nikt ich nie rozlicza.

Jeden profesor dla blisko dwustu studentów

Z powodów, które wymieniłem wyżej, przyjmuje się (by nie powiedzieć po raz kolejny: *nabiera się*) na wszystkie uczelnie i na wszystkie kierunki studiów jak największą liczbę kandydatów, nie licząc się z tym, czy posiadana kadra, zasoby (pomieszczenia, księgozbiory, wyposażenie laboratoriów itp.) pozwolą na skuteczne kształcenie tak wielu studentów. Warto tu odwołać się do przytoczonego wyżej cytatu z tekstu prof. Groblera mówiącego o nadmiernej liczebności grup ćwiczeniowych. Wypowiedź ta odnosiła się do studiów humanistycznych (ze względu na profesję cytowanego profesora), ale trzeba z naciskiem podkreślić, że jeszcze gorsza sytuacja jest na kierunkach studiów ścisłych, przyrodniczych i technicznych, gdzie zasadniczym elementem kształcenia są laboratoria. Zbyt duża liczba studentów w stosunku do posiadanego wyposażenia laboratoriów dydaktycznych (kosztownego, więc dostępnego w limitowanej ilości) skutkuje w tym przypadku niemożnością zapewnienia wszystkim uczestnikom warunków do aktywnego samodzielnego przeprowadzania badań laboratoryjnych. Ma to fatalne skutki, bo zubaża zarówno wiedzę absolwentów, jak i ich praktyczne umiejętności, na co najczęściej narzekają pracodawcy.

Proporcja liczby studentów do liczby prowadzących zajęcia pracowników uczelni też jest czynnikiem pogarszającym jakość procesu kształcenia. Na początku lat 90., podczas okresu burzliwego rozwoju (niestety, wyłącznie ilościowego, a nie jakościowego) polskiego szkolnictwa wyższego, zupełnie nie zwracano uwagi na to, jak wielu studentów przypada na jednego nauczyciela akademickiego. Zdarzały się wtedy przypadki, które chyba powinny być zapisane w jakiejś księdze rekordów, gdyż dążenie do maksymalizacji zysków (związanych z liczbą studentów) i minimalizacji kosztów (związanych z liczbą profesorów) prowadziło do jaskrawych absurdów czy wręcz wynaturzeń. Sprawę tę w 2002 roku uregulowało odpowiednie rozporządzenie, które jednak jako nauczyciel akademicki z ponad 40-letnim stażem także oceniam jako nadmiernie liberalne. No bo, gdy rozporządzenie ministra w majestacie prawa ustala, że na jednego pracownika może przypadać 180 studentów (taka proporcja jest podana dla kierunków ekonomicznych i dla kierunków prawnych) – to mam poważne wątpliwości, czy z taką gromadą studentów da się prowadzić zajęcia realizujące jeden z fundamentalnych postulatów edukacji akademickiej, polegający na indywidualizacji nauczania i oparciu jej na modelu kontaktów typu „mistrz-uczeń”. Proporcja 1:90 ustalona dla bliskich mnie osobiście kierunków

studiów technicznych też jest bardzo odległa od tego, co byłbym skłonny uznać za optimum w tym zakresie.

Jakość kandydatów a efekt kształcenia

Dążenie do tego, żeby uzyskać maksymalny nabór studentów na wyższe uczelnie (także na bardzo dobre uczelnie!), ma także jeszcze jeden skutek. W celu wykazania w statystykach przyjęć jak największej liczby studentów przyjmuje się – obok tych najlepszych – także kandydatów słabo przygotowanych oraz mniej zdolnych. Po prostu obniża się kryteria kwalifikacji. Tak robią wszyscy. Przyjmowanie słabych kandydatów skutkuje jednak tym, że bardzo trudno jest im potem przekazać dużą ilość najbardziej zaawansowanej wiedzy. Nie oszukujmy się! Gdy w Polsce studiuje obecnie ponad połowa wszystkich maturzystów, to nie wszyscy są geniuszami!

I tutaj dotykamy sedna problemu. Dawniej na uczelnie trafiali ludzie naprawdę najzdolniejsi. Obecnie zaczynamy czerpać z tych, którzy są inteligentni w sposób przeciętny albo poniżej przeciętny. To naprawdę uniemożliwia osiągnięcie bardzo wysokiego wskaźnika inteligencji, teoretycznej wiedzy i praktycznie użytecznych kwalifikacji u każdego absolwenta uczelni, a opinia o jakości kształcenia jest zwykle formułowana w oparciu o przykłady (niekiedy naprawę bulwersujące) tych najgorszych.

Tymczasem masowość studiów praktycznie uniemożliwia indywidualne stymulowanie i formatowanie inteligencji poszczególnych studentów, ograniczony dostęp do zasobów (z powodu tłoku!) nie sprzyja zdobywaniu praktycznych kwalifikacji, a przy ograniczonej sumarycznej liczbie godzin nauczania na studiach (a uczelnie mają w tym zakresie bardzo rygorystyczne wytyczne, których muszą się trzymać!) – nie da się nawet przekazać wymaganej liczby wiadomości. Horyzont czasowy, jaki jest do dyspozycji, jest ograniczony ze względu na to, że jak pisałem wyżej – wdrożyliśmy w Polsce (trochę zbyt bezkrytycznie i zbyt gorliwie, inne kraje UE były tu bardziej powściągliwe) tak zwany proces boloński.

Połączenie tego, że w Polsce po 1989 roku chciano się pochwalić wysokim wskaźnikiem scholaryzacji, a także (po wejściu do UE) wykazywano gorliwość neofity we wdrażaniu wszystkiego, co „europejskie” – zaowocowało takim stanem szkolnictwa wyższego, jaki dzisiaj widzimy.

Reklama dźwignią kształcenia akademickiego?

Dążenie do maksymalizacji liczby studentów, którego przyczyny omówiłem wyżej, powoduje, że uczelnie stosują obecnie agresywny marketing. Robią to, nie licząc się z kosztami! Na nowoczesne wyposażenie laboratorium studenckiego może zabraknąć pieniędzy, ale na baner reklamowy fundusze się znajdują. Może nie być pieniędzy na wydanie podręczników, ale broszury reklamowe drukuje się w wielkich nakładach.

Niestety, podobnie jak przy promocji piwa czy proszku do prania – to, co się mówi, pisze i pokazuje w reklamach, nie zawsze znajduje potwierdzenie w faktach. Tylko że pomyłka w wyborze piwa czy proszku do prania skutkuje jedynie niesmakiem lub niedopranie – natomiast uwierzenie w niezbyt uczciwą reklamę uczelni może skutkować nieudanym życiem.

Gdy byłem rektorem AGH, napisałem w informatorze dla kandydatów na studia:

To, czy uda Ci się podjąć trafną decyzję przy wyborze kierunku studiów, przesądzi o tym, czy będziesz zadowolony z tego, co będziesz musiał robić – systematycznie, dzień po dniu – przez niewyobrażalną dla Ciebie dzisiaj ilość czasu – aż do emerytury.

I nieco dalej rozwinąłem ten temat, pisząc:

*Twój dzisiejszy wybór w znacznym stopniu zadecyduje także o tym, czy Ty i Twoja przyszła Rodzina należeć będziecie do osób **zamożnych i zadowolonych z życia**, czy też troski materialne przesłaniać Ci będą ciekawsze aspekty, zmuszając do codziennego odpowiadania na trudne i gorzkie pytanie: **jak przeżyć do końca kolejnego miesiąca**.*

Gdy przestałem być rektorem, informator AGH pospiesznie zmieniono, podobnie jak wiele innych rzeczy, które ja kiedyś wprowadziłem i lansowałem. Ale moim zdaniem przytoczona sentencja pozostała aktualna!

Stale reformowanie

Fakt, że w przedstawionym wyżej tekście odnoszę się krytycznie do aktualnego stanu polskiego szkolnictwa wyższego, nie oznacza, że aprobuję narzucane przez obecne Ministerstwo kierunki reform. Od pewnego czasu obserwuję, że jedyną niezmienną rzeczą w szkolnictwie wyższym są permanentne zmiany. Jeszcze niedawno opinie środowiska naukowego dotyczące danej reformy – niezależnie od tego, czy przyjmowane czy odrzucane – były z pewnością przedmiotem jakichś wspólnych rozważań rządów i środowisk naukowych. Teraz jest inaczej.

Pisałem o tym w artykule opublikowanym w 2010 roku w „Forum Akademickim”. Artykuł ten został jednak przed jego publikacją oceniony, bo – jak mi tłumaczył nieżyjący już niestety redaktor naczelny „Forum Akademickiego” – nadmiernie krytycznych uwag być tam nie powinno. Zgodziłem się usunąć pewną partię tekstu, bo wybór był następujący: Albo tekst zostanie pozbawiony krytycznego fragmentu, albo nie będzie wcale puszczony do druku i jego pozostałe tezy, którymi też chciałem się podzielić z czytelnikami – pozostaną na zawsze w mojej szufladzie. Wolałem poddać pod osąd publiczny przynajmniej część moich przemyśleń i w takiej właśnie „wykastrowanej” formie tekst się ukazał⁶.

⁶ „Jak” reformować lub „czy” reformować”. „Forum Akademickie”, nr 4, 2010, str. 32-34

Teraz pozwalam sobie przedstawić na łamach kwartalnika „Nauka” to, czego miesięcznik Forum Akademickie opublikować się nie odważył. Będąc w momencie pisania tekstu do FA świeżo po serii jałowych dyskusji na temat nowelizowanej Ustawy o Polskiej Akademii Nauk (w żaden sposób nie mogłem zrozumieć zaciętrzewienia, z jakim Ministerstwo domagało się, żeby Akademia miała 5 wydziałów, a nie 7) – napisałem co następuje:

Działania Ministerstwa w tym zakresie przypominają politykę firmy Microsoft związaną z powszechnie używanym systemem Windows albo z pakietem Office. Przypomnę o co chodzi, bo chociaż wszyscy stale korzystamy z komputerów, to nie zawsze mamy czas (i ochotę) zastanawiać się nad logiką – a dokładniej nad brakiem logiki rozwoju tego oprogramowania.

Otóż Microsoft rzekomo zbiera opinie użytkowników swoich tandetnych wyrobów, ostatnio nawet w sposób zautomatyzowany, gdyż ilekroć wywali mi się Word czy Power-Point (a zdarza się to czasem kilka razy dziennie) to oprócz enigmatycznego komunikatu, że „wystąpiły problemy z programem X i zostanie on zamknięty”, co oznacza utratę wyników aktualnie wykonywanej pracy, dodatkowo jest uprzejma propozycja, że komputer może wysłać wiadomość o tym problemie do firmy Microsoft – oczywiście jeśli sobie tego życzę. No więc wysyłałem i wysyłałem, a błędy ciągle pozostawały niepoprawione, natomiast co pewien czas firma wmuszała w nas całkiem nowe wersje swoich produktów, które bynajmniej nie były wolne od błędów, tylko że były to już całkiem inne błędy.

Jako żywo debata nad reformą nauki i szkolnictwa wyższego biegnie tym samym torem. Przedstawiany jest jakiś projekt, więc społeczności akademickie debatują, spierają się, przedstawiają uwagi, cyzelują argumenty – po czym wszystkie te przemyślenia przesyłają do Ministerstwa.

I co?

I nic!

Zamiast projektu będącego wynikiem poprawienia – zgodnie z tymi argumentami środowiska, które uznano za słuszne – powszechnie dyskutowanego i już lepiej lub gorzej znanego projektu – pojawia się całkiem nowy projekt. Z nową kolekcją błędów...

Urzekająca jest też argumentacja, jakiej Ministerstwo używa, uzasadniając swoje reformy. Najczęściej podnoszony ostatnio argument mówi o tym, że w takim czy innym zagranicznym rankingu nasze szkoły wyższe nie znalazły się w grupie pięciuset (czy więcej) uczelni uznanych za najlepsze na świecie. Dla wielu osób sam ten fakt ma być wystarczającym uzasadnieniem dla przemożnego dążenia do wprowadzenia reform.

Zastanówmy się jednak nad tym poważnie. To, że na przykład *Shanghai Jiao Tong University* przyjął jakieś kryteria i na tej podstawie opublikował listę 500 uniwersytetów – bynajmniej nie oznacza, że jest to jakaś prawda objawiona, określająca w skali absolutnej, kto jest lepszy, a kto jest gorszy. Wynik każdego rankingu jest zawsze wypadkową dwóch czynników – jakości rangowanych obiektów oraz **kryteriów** przyjętych jako podstawa rankingu. Z pewnością nieobecność na tej liście polskich szkół wyższych

nie jest rzeczą, która mogłaby kogokolwiek cieszyć, bo takie rankingi mają tendencję do stawiania się „samosprawdzającą się prognozą”. Skoro jakaś uczelnia jest wysoko w rankingu, to będą do niej napływały większe ilości kandydatów na studia i większe dotacje od różnych państwowych i prywatnych sponsorów, co spowoduje, że ta uczelnia stanie się jeszcze lepsza. Szkoda więc, że nas tam nie ma.

Jednak rozdzieranie szat z tego tytułu i posypywanie głowy popiołem wydaje się chwilami zbyt daleko posunięte, a formułowanie wniosku, że taka czy inna reforma ustawodawstwa regulującego funkcjonowanie naszych uniwersytetów od razu wprowadzi je na czołowe miejsca tego rodzaju list formułowanych w przyszłości jest słabo uzasadnione. O pozycji na wspomnianej liście decydują bowiem w dużej mierze czynniki, na które główny wpływ ma to, jak wiele pieniędzy taka czy inna szkoła wyższa może przeznaczyć na badania naukowe (z których rodzą się potem Nagrody Nobla), a także na rozbudowę swojej infrastruktury i na pozyskiwanie do składu swojej kadry profesorów mających bardzo znane nazwiska (między innymi noblistów).

Tymczasem nasze Ministerstwo nie dostrzega faktu, że w przeliczeniu na jednego studenta uniwersytety będące na czołowych miejscach wzmiankowanej listy mają ponad **dwudziestokrotnie** większe przychody, niż wielkość tej jałmużny, jaką otrzymują polskie uczelnie. Tej dysproporcji Ministerstwo nawet nie próbuje zmniejszyć, (bo trzeba by było stoczyć walkę o fundusze z szefami innych resortów albo – nie daj Boże! – narazić się Premierowi), natomiast zaciekle reformuje reguły wyboru rektora czy sposoby organizacji planów studiów, które na ową pozycję naszych uniwersytetów w światowych rankingach mają wpływ zgoła drugorzędny.

Żartobliwie można powiedzieć, że chwilami Ministerstwo zachowuje się w tej sprawie jak wójt niewielkiej gminy, który bolejąc nad tym, że żadna z mieszkańek jego wioski nie uzyskała tytułu *Miss Universum*, zamierza zaradzić temu, wprowadzając reformy w zakresie zasad urzędowego wyznaczania, kto ma być wodzirejem na zabawie w remizie, a także wymagania, że zamiast orkiestry strażackiej do tańca ma przygrywać kwartet smyczkowy. Mam nieodparte wrażenie, że wpływ niedawnej reformy Ustawy o szkolnictwie wyższym na międzynarodową pozycję naszych szkół wyższych będzie podobny, jak wpływ reform wzmiankowanego wyżej wójta na zwiększenie urody wieśniaczek.

Mało tego, że pomysły reform są sufitowe i dyktowane często bez znajomości realiów funkcjonowania typowej polskiej szkoły wyższej, to dodatkowo ich wprowadzanie jest wysoce niekonsekwentne. Regułą są dobrze sprzedające się w mediach „fajerwerki” w rodzaju konkursów na najlepszy program nauczania, natomiast od tak dawna zapowiadany system „uczeln flagowych” wciąż pozostaje w sferze ogólnikowych koncepcji, a nie praktycznie wdrożonej finansowej implementacji. No bo w jednym przypadku można wydatkować kilka razy po miliony złotych dla paru wyróżnionych wydziałów na kilku

uczelniach, uzyskując liczne relacje i omówienia prasowe, a w drugim przypadku trzeba by było naprawdę uczciwie dofinansować (setkami milionów, żeby uzyskać zauważalny efekt) przynajmniej kilka najlepszych szkół, a to jest przecież polityczna beczka prochu. Zamiast przemyślanych zmian systemowych mamy więc liczne działania w myśl koncepcji „zmieńmy cokolwiek, żeby o nas mówiono w telewizji i pisano w prasie”.

Nie rokuje to dobrze, gdy spojrzeć na odległe skutki podejmowanych dzisiaj działań!

Quantity or quality?

Polish system of higher education is now overdimensioned. We have too many schools which aspire to be universities, we have too many young people who are students, we have also overloaded programs and not efficient system of evaluation and assessment, which university is good enough and which one is in fact professional high school. In paper we discuss some sources of observed problems and some cases of reported pathologies. Discussion of the role of Ministry of Science and Higher Education is also presented and some conclusions are suggested.

Key words: Polish system of higher education, Ministry of Science and Higher Education